SAMPLE
TRANSLATION

NATAŠA KRAMBERGER
NIEBO W JEŻYNACH

PUBLISHED BY: JAVNI SKLAD REPUBLIKE SLOVENIJE ZA KULTURNE DEJAVNOSTI - REVIJA MENTOR, 2007

TRANSLATED BY: MARLENA GRUDA

ORIGINAL TITLE: NEBESA V ROBIDAH: ROMAN V ZGODBAH

NUMBER OF PAGES: 271

Nataša Kramberger, Niebo w jeżynach

Część trzecia

- Nigdy

jeszcze nie widziałam mówiącej ryby.

Jana stała przed człowiekiem i jego rybą, pływającą w okrągłej plastikowej misce. Deszcz moczył jej włosy, rzęsy i oczy zasłaniając Amsterdam za woalką mgły. Rdzeń kręgowy drżał, jabłka w płóciennej torbie ważyły trzy kilogramy, a w lewej ręce znajdował się żelazny dzwonek do roweru.

- To nie jest zwykła ryba, ph! To święta ryba.

Spod drewnianego stolika, na którym stała miska z rybą, wysunęła się mała potargana głowa dziewczynki w żółtej koszulce i z męskim swetrem wokół ramion. Nie mogła mieć nawet dziesięciu lat, nie, nie, pewnie dopiero co zaczęła chodzić do szkoły. Weszła na drewniany stołeczek, na którym pewnie wcześniej siedziała i pochylała się pod stołem (mogłaby przysiąc, że nie było jej tam przed dwiema minutami), weszła na niski stołeczek bez oparcia i swoje małe cienkie ręce stanowczo wygięła w bok:

- Nazywa się kot rzeczny, sumik albo głowa byka, zależy kiedy i zależy od języka.

Miała wrażenie, że dziewczynka mówiła po chińsku, węgiersku albo w jakimś dialekcie afrykańskim. Ze wszystkiego razem rozumiała pojedyncze słowa. A deszcz kapał jej za kołnierz.

- Kot z głową byka?

(U nas bardziej popularne są byki z głową człowieka).

Jabłka stawały się coraz cięższe i coraz częściej pytała samą siebie, dlaczego na Boga śmieszna kobiecina w czerwonej pelerynie dała jej dzwonek do roweru. Tylko jeszcze bardziej przypominał jej rower, który jej ukradli i dziecięce siedzenie, które zginęło razem z pracą baby-sitter i z euro na rękę. Razem z euro w ręce. Dobra rzecz, naprawdę nic takiego mieć dzwonek bez roweru, może go sprzeda, zwłaszcza że za trzy biedne kilogramy jabłek zmarnowała wszystkie pieniądze, jakie jej zostały.

- Kot rzeczny. Głowa byka. Dwa pojęcia, jedna ryba. Rozumiesz?

Potargana dziewczynka na stołeczku nie przestawała mówić o tej swojej świętej rybie. Jedną ręką opierała się o łysą głowę starca, podczas gry drugą wymachiwała:

- Różne narody różnie nazywają rzeczy.

(Daj spokój. Ta to jest dobra):

- A dlaczego nie mówią na nią po prostu ryba?

Dziewczynka spojrzała na nią, tak jakby miała właśnie teraz przestać oddychać. Zeszła ze stołeczka, ściągnęła z ramion męski sweter i wręczyła go starcu. Pod kołnierzykiem żółtej koszulki pojawiła się czerwona plama. Podeszła do niej, do skraju szewskiego baldachimu, spojrzała na nią z palącym niezadowoleniem i powiedziała powoli:

- Nie mogę uwierzyć. Jeszcze nigdy nie widziałaś żywej ryby. W takim wieku!

(Dobra jest. Żywej ryby. Jak to nie.)

- Przyznaj się, masz to wypisane na czole.

(Na czole mam tylko krople potu).

Dziewczynka z galanterią chłopca hotelowego wzięła jej z rąk siatkę z jabłkami i dzwonek do roweru. Wszystko razem położyła na drewnianym stołeczku i kulturalnie powiedziała:

- Lepiej?

Potem zaciągnęła ją pod baldachim, gdzie stali ściśnięci jak należało: starzec, który milczał śmiejąc się, dziewczynka, która pomimo zimna podciągała rękawy, i ona, mokra do szpiku kości, dla której już praktycznie nic nie było jasne.

- Lepiej.

Mała odpowiedziała zamiast niej, lepiej, lepiej. Na targowisku zawiało, a w myślach jej zatrzepotało. Co za przedstawienie, co za scena. Jeśli nie byłoby jej zimno na dnie duszy, pewnie śledziłaby ciąg dalszy wydarzeń, a tak oparła się o szklaną wystawę szewskiego mistrza i apatycznie wbiła wzrok w miskę z rybą, która najwyraźniej była nie tylko rybą. Jeśli zobaczyłaby jeszcze jakąś na żywo, pewnie wiedziałaby, że rzeczywiście nią nie jest, i pewnie zrozumiałaby, o co teraz pytała jak zmokła kura, o co chodzi z kotami, sumami, bykami, głowami. Tiktak. Święta ryba, święty byk. Ha. Patrzyła apatycznie na miskę, a tam pływało, pluskało, milczało. Co za przedstawienie, co za scena. Ale by było, jakby mnie teraz zobaczyła mama.

- No powiedz, jesteś zainteresowana?

Dziewczynka usiadła na rogu stołu i zaczęła dyndać nogami.

- Zainteresowana? Czym?

(Ciepłym prysznicem i rosołem).

- Czym, czym, kupnem, czym!

Na twarzy dziewczynki pojawił się wyraz, którego mógłby jej pozazdrościć jedynie ostatni orientalny handlarz dywanami. Przymknęła powieki w słodkim oczekiwaniu, jedną brew sprytnie podnosząc.

- Kupnem?

Ona nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać.

- Tak, a co innego robimy w tej chwili. Jesteśmy na targowisku, czy nie?

Na pchlim targu Waterlooplain nie było nic innego oprócz deszczu.

- Ha, to tak, tylko...

Od wody i kwietnia dawały jej się we znaki kolana.

- Czy wiesz w ogóle, że w Japonii za pomocą tej ryby zapowiadają trzęsienia ziemi?

Targowanie się zaczęło.

- Co zapowiadają?

- Trzęsienia ziemi! Nikt inny ich nie zapowiada tak dokładnie jak ona.

Spojrzała na miskę.

- Masz na myśli, ona – ryba.

Zaburczało jej w brzuchu.

- Nie, ona – królowa japońska. Oczywiście, że ryba! W Meksyku znaleźli jeden tak stary egzemplarz, że myślą, że to żyjący dinozaur.

Dziewczynka wyraźnie nie zamierza przestać.

- Dinozaur – ryba?

Żołądek też nie.

- Nazwali go Enigma, meksykański egzemplarz. Jak zagadka, rozumiesz?

Jeszcze w jelita było jej zimno. Głodna.

- Zagadka – ryba?

Dziewczynka na chwilę ucichła przybierając poważny wyraz twarzy. Przestała dyndać nogami i po krótkim zastanowieniu powiedziała:

- Ona – ryba – dinozaur – ryba – zagadka – ryba! Powiedzieć ci coś?

- Jeśli człowiek się za bardzo powtarza, staje się papugą.

Wiatr. Mróz.

- A ile kosztuje twoja ryba?

W mgnieniu oka z oczu dziewczynki znikła stanowczość, a na twarzy pojawiło się zapytanie. Spojrzała zdziwiona najpierw na nią, potem na starca, pierwszy raz w tym czasie, jakby dopiero przypomniała sobie o nim. Wbiła wzrok w jego łysą głowę i powtórzyła:

- Bepi, właśnie, ile kosztuje?

Starzec o imieniu Bepi życzliwie się uśmiechnął, pogłaskał dziewczynkę po potarganej głowie i spojrzał w jej stronę:

- Panienko, o ile wiem, cenę zwykle ustala główny sprzedawca.

Do tego jeszcze zamrugał, ocieplając powietrze i zostawiając dziewczynkę ze spojrzeniem pełnym wyrzutu:

- Co to znaczy? Ja? Bepi, do mnie należy ustalenie ceny?

Jej głosik balansował między paniką i zachwytem, po czym zamienił się w jakąś zabawną mowę, przypominającą stukot lokomotywy.

- Dokładnie tak. Do ciebie należy.

Starzec też stukotał.

- Ale ja jeszcze nigdy niczego nie sprzedałam.

Dziewczynka przyjęła protestującą postawę.

- A poza tym, skąd mam wiedzieć, jaką wartość na rynku europejskim mają święte ryby?

Tego było już za wiele. Ryby, rynki, lokomotywa. Po co to wszystko? Złapała się za głowę i poprawiła włosy pod szewskim baldachimem. Święta ryba. Proszę was. Jeszcze tego by brakowało, żeby zaczęła wierzyć w święte ryby. Jakby to usłyszeli w domu, ksiądz sam by zapłacił za mszę za zagubioną wierną. Bracia i siostry, zebraliśmy się tutaj, żeby modlić się za. Za kogo. Za świętą Janę. Za świętą rybę. Za zagubione dusze. Potem wróciłaby do domu i na placu przed kościołem-lokalem postawiła pozłacaną rzeźbę byczej głowy. Bracia i siostry, módlmy się. Święta ryba uratuje was przed trzęsieniem ziemi. Nad tym – nad tym pewnie warto by było poważnie się zastanowić. Co za przedstawienie, co za scena. Złoty byk. Przed własnym kościołem. O, Boże, ale by było, jakby mnie teraz zobaczyła mama.

- Wszystko z panienką w porządku?

Starzec o imieniu Bepi, który dotychczas był cicho, wstał z krzesła i okrył ją swoim swetrem. Jej kości pod skórą ciągle były jeszcze mokre, sweter był ciepły, a wiatru wzdłuż kanału było coraz mniej. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Przepraszam, chyba nie jestem dobrym kupcem waszej sprawy.

Dziewczynka znowu ożyła:

- Sprawy? Sprawy?! Zwierzęta to nie są sprawy!

Bepi pogłaskał ją po głowie mówiąc, tylko tak się mówi, rzecz, sprawa, służba, no nie bądź tak przewrażliwiona:

- Może ją pani wrzucić z nami do kanału.

Dziewczynka już nic nie rozumiała. Usiadła na jego krześle z rozpaczliwie otwierającymi się ustami. A co z targowaniem? A co z targowiskiem? A co z bogactwem? A co z pieniędzmi? Święte ryby są warte majątek. Na południu Ameryki na przykład szukają złota w strachu przed zagrażającym życiu ukłuciem takiej ryby. Dlaczego miałabym ją teraz wypuścić z powrotem do kanału, jeśli ledwo co została złowiona. Niech najpierw zapłaci, a potem może ją wypuścić. Czy co. Jaki to ma w ogóle sens?

- A ja myślałam, że odpłynie do nieba.

Zrobiło jej się ciepło pod swetrem. Nie rozumiała, dlaczego miałaby być głodna, jeśli w rękach trzyma jabłka.

- Ach, panienko, na takie akcje za słabo pada deszcz.

Z nieba spadła jeszcze tylko ostatnia kropla i rozlało się słońce.

- W ostateczności i kanał był niczego sobie.

(Kanał Amsterdamski? Te zaśmiecone mnóstwem brązowo zardzewiałych rowerów miejskie ścieki? Podobają jej się ryby? Skoro tak, to musi ona być rzeczywiście święta.):

- Nie wiedziałam, że w kanale pływają takie giganty.

Z siatki na stołeczku wzięła jabłko i wytarła je o bluzkę.

- Pływają, pływają. Codziennie, wszędzie.

Owoc zabłyszczał złociście i soczyście.

- I są jadalne?

Ugryzła żółte jabłko i w ustach rozpłynęła się słodycz.

- Jak... ryby?

Dopiero w ostatnim momencie zorientowała się i podsunęła otwartą siatkę jeszcze dziewczynce i starcowi.

- Ryby, tak. Ryby z kanału są jadalne?

Dziewczynka zachwycona sięgnęła do siatki chcąc jak najszybciej wybrać najładniejszy delikates dla siebie.

- Hm.

Starzec też wziął jabłko i wytarł je o koszulkę. Spojrzał zamyślony na targowisko i kanał. Hm, po mostach chodzili pieszy i jeździli rowerzyści, zakochani trzymali się za ręce, ćpuny odsprzedawały rowery, mamusie woziły swoje pociechy, biznesmeni telefonowali, kobieca reprezentacja w hokeja na trawie wołała hip hip hura. Wszyscy szli wzdłuż tego kanału, przez mosty i targowiska, wzdłuż wody. Za każdym razem, gdy pochylali się nad kanałem, jego głębia rysowała ich odbicie.

- Zjadłabyś ją?

Ugryzł jabłko i spojrzał na nią.

- Rybę z kanału amsterdamskiego, czy bym ją zjadła?

Słodycz w ustach zmieszała jej się z napadem śmiechu. Co byście powiedzieli, jakbym ją zjadła, a wy? Dziewczynka zdecydowanie zaprotestowała. Tego już za wiele, Bepi, to jakaś paranoja. Ona nawet nie mogła przestać się śmiać, mełła jabłko, od którego prawie już jej się czkało. Również starzec się uśmiechnął potrząsając głową. Jabłko opanował trzema gryzami, razem z ogryzkiem. Potem nagle spoważniał, podniósł plastikową miskę z rybą i odniósł ją tam, skąd przyszła, do kanału amsterdamskiego, do wody.

- Bepi, Bepi, a znajdzie drogę powrotną do domu?

Dziewczynka zmartwiona przygryzając chrupiące jabłko pobiegła za starcem. Bepi, Bepi odnieśmy ją z powrotem do łodzi domu, tam jest jej dom, czy nie. Tramwajem i promem dotrze prędzej niż płynąc przez całe miasto. Bepi, Bepi, słyszysz. Starzec uśmiechnął się, pochylił tuż przy moście, przechylił miskę lekko w bok i plusk, tiktak zginął z pola widzenia.

- Anusia ładnie powiedziała. Nie ma żadnej korzyści z targowiska.

Dziewczynka dopiero teraz sobie uświadomiła, że tak naprawdę zmarnowała zakup. Psioczyła na stołeczku do swojej brązowej plamy na koszulce, po czym powiedziała:

- Lepiej by było, jakbym poszła po bagaże na lotnisko. Nie mam ani jednej koszulki na zmianę.

Także starzec Bepi spoważniał i gdy zwrócił stolik szewcowi, oznajmił:

- Trzeba zadzwonić do Josephine. W ogóle nie powiedzieliśmy jej, że dotarłaś szczęśliwie.

Zawiązał jej platynową siatkę na węzełek i dał do ręki.

- A kto to jest Josephine?

Do kieszeni wcisnął jej dzwonek do roweru, który dostała od kobieciny.

- Córka Bepiego i moja mama.

Dziewczynka rozpuściła kucyk i poczesała sobie włosy palcami.

- A gdzie jest?

Siatka z jabłkami była mniej ciężka, ...

- W górach indyjskich szuka złota.

... trochę mniej niezręczna, ...

- Słucham?

... już nie aż tak bardzo droga, ...

- Szuka złota. A ja jestem u Bepiego.

... piekielnie mokra.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niej ze smutkiem zmieszanym z radością, a ta w zakłopotaniu przestąpiła z nogi na nogę.

- Jeśli nie zadzwonimy do niej natychmiast, będzie się zamartwiać. Już i tak jest zła, bo nie byliśmy jeszcze w biurze.

- Biurze?

- Bepi będzie teraz moim nowym tatą. A potem idę do szkoły.

- Jesienią?

- Jesienią też, tak. Ale ja zaczęłabym już jutro, czytać już potrafię.

Mokra siatka zaczęła jej się ześlizgiwać z dłoni. Znowu wszystko jej się mieszało w głowie. Indyjskie góry, nowy tata, woda i początek szkoły w kwietniu. Zbyt wiele pytań jak na jedno zdanie. A poza tym sama miała dość biura. W kieszeni nadal jeszcze czekało na nią wezwanie na policję. Milion razy przełożone, wystarczająco razy przeczytane i najprawdopodobniej mokre. Jeśli nie wybierze się tam od razu, jeszcze ją wypędzą z kraju. Tylko gdzie na Boga zdobyli jej adres. Imię, nazwisko, rok urodzenia. Przecież nigdzie nie jest zgłoszona. Jak to nie. Na studiach. W bibliotece. Na kursie gramatyki holenderskiej. Wystarczy. Dziękuję za uwagę i do widzenia:

- I ja mogłabym do niej zadzwonić, do mamy.

Potrząsnęła głową, żeby zleciały z niej ostatnie krople deszczu.

- Dzisiaj są jej urodziny.

Zdjęła z ramion sweter i zwróciła go Bepiemu. Dziękuję, już mi lepiej. Potem odwróciła się do dziewczynki, która niecierpliwie sterczała pod ręką Biepiego. Właśnie chciała jej powiedzieć, miłego czytania, właśnie chciała się do niej uśmiechnąć, jutro i jesienią, właśnie chciała jej potargać włosy, podczas gdy ze sklepu na rogu wyszedł ochroniarz w uniformie i wbił

w nią swój palący wzrok. Ścisnęło ją w płucach tak, że udało jej się wycisnąć jedynie kruche piśnięcie. Podniosła głowę do góry w stronę starca i ostatkiem sił wyszeptała, przepraszam, Bepi, mogę zostać z wami?

- Myślę, ze idziemy w tym samym kierunku.

Już nie

padał ani deszcz ani śnieg. W zimnie i błocie zaczęto murować, budować, obudowywać, jeździć taczką. U Pana Boga za piecem, za ostatnim wzniesieniem, całkiem pod zboczem. Zbocze się ciągnęło, lecz bez obawy, przed zimą będzie pod dachem. Podobnie jak fasada. Drejča nazbiera na mieszadło, nabędzie zaprawę murarską. Musi iść do Slawy po piasek od Mirana. Chryste panie, że też muszę ci trzy razy wszystko mówić. Na Žitencah, obok bistra Ančka. Tylko patrz, żebyś się nie przewróciła i nie wpadła do rowu na tych poboczach. A tak, golf coś stukocze, uważaj, jak zapalasz. Słuchaj, dziecko się drze, co mu jest, Chryste panie, jeszcze mu nie dałaś jeść. Jak już tam będziesz, zatrzymaj się u Ančki. Wczoraj mi się nie udało. Trzy tysiące. Przecież wiesz, że przyczepę możesz prowadzić tylko na trójce, inaczej się zajedzie. Chryste panie, no zróbże coś z tym małym.

Dwadzieścia trzy poranki po ślubie i dalej jeździła powoli. Było zimno, błotniście. Dziecko spało na tylnym siedzeniu pod kocem. On nie był już taki jak dawniej. Trzynaście lat to wystarczająco dużo czasu, trzynaście lat to nowy świat. Zatrzymała się przy wierzbie na zakręcie (był czas piszczałek) i zerwała trzy gałęzie. Nazrywa mu gerber za wszystkie czasy. Czternaście żółtych kwiatów i rozpłacze się jak.

Dla twojej wiadomości, młody poszedł na policjanta do Velenja. Sprzedał traktor, świnię i rower, wszystko sprzedał. Dla twojej wiadomości dobrze się dogadał, niczego nie odpuścił. Wziął kredyt i teraz jest na swoim. Przecież mówiłam ci już w zeszłym roku, dla twojej wiadomości, tak jak mnie widzisz, jak na mnie patrzysz, gospodarstwo zapisałam na Jurča. Nie mogłam zostać. Co innego miałam zrobić. Przecież wiesz, na dole wszyscy patrzyli się na mnie spode łba, potem jeszcze ty mnie zostawiłeś. Lecz nie mam ci tego za złe, Bóg mi świadkiem, nigdy nie miałam, przecież wiesz. Tak jak na mnie patrzysz, jak mnie widzisz, jak Boga kocham. Społeczność lokalna starała się o telefon, nowy wodociąg i kanalizację. W końcu sama nie wiedziałam o co chodzi. Wiesz jak to jest jak sołtys nie daje spokoju. Wcisnęła gałęzie wierzby do wazy na grobie. Jeszcze trochę i wypuszczą liście, zielono, zielono. Oczy miała tak niebieskie, strasznie, strasznie głębokie, i jeśli nie płakałby, jej twarz byłaby rażąco piękna. Dla twojej wiadomości teraz czuję się dobrze, możesz spać spokojnie. Zaciskam zęby i daję radę, co ci będę tłumaczyć, przecież wiesz, tak jak mnie widzisz, jak na mnie patrzysz, przecież.

Gdy golf z przyczepą w końcu wywiózł żwir na dół, na trójce, bo inaczej się nie dało, dziecko na tylnym siedzeniu bawiło się piszczałką z wierzby i powiedziało: na.

- Dzwonili ze szkoły, wychowawca weźmie cię na pół roku.

- Mamo, gdzie mam wysypać piasek? Na pół roku niech się wypchają.

- Ivek powiedział, że za gnój. Sześćdziesiąt tysięcy na miesiąc.

- Za gnojem jest błoto. Netto?

- Rozłóż folię. Brutto. Nieźle jak na sprzątaczkę.

- Folia się skończyła, mamo. A dlaczego nie na stałe?

- W piwnicy jest jeszcze jeden kawałek. Zastąpisz tę ciężarną, Kavranową. Jeśli będą malować, zostaniesz jeszcze na wakacje.

Folia z piwnicy wystarczyła na ładną kupkę piasku za gnojem. Trzy razy wracała do Slawy i trzy razy golf zgasł na środku drogi. Jeszcze trochę i wypuszczą liście, zielono, zielono. A nowa teściowa szuflowała piasek. Dziecko spało. Było zimno. Po rynience ciekł pot. A wieczorem, Chryste panie, o drugiej w nocy, powiedział jej pijany, cholera, ta folia miała być na rusztowanie.

Jeszcze nie

zachodziło słońce. Ziemia się suszyła. Niech tylko świeci, niech tylko. Jeśli będzie padać jeszcze trochę, wszystkich nas odniesie. Glina rozpłynie się po brzegu i sam Pan nie będzie mógł nic zrobić. Wszystkie mury popękają, wszystko na raz się zburzy, wszystkie ściany pójdą, dom sam z siebie się rozsypie. Niech tylko świeci słońce, niech tylko, o-Maryjo-Matko-Boska, Pep!, słyszysz, Pep! Boże-dopomóż, Pep! Słyszysz! Na co oni sobie pozwalają, Pep! Przecież całe zbocze rozkopią. O-Chryste, jeśli traktor im się przewróci do rowu, lepiej wolę nie myśleć, Pep! Przecież to jest ten młody od Mlakarów, co mu wpadło do głowy! Przecież wie, że w błocie zbocze jest nieprzejezdne, a trawy szkoda. Właśnie tam wyprowadziliśmy pasterza. Tam teraz krowy się pasą, tuż przy mojej duszy, gdzie trzeba pracować, na naszym, na moim, na.

Zamknęła drzwi, a klucz położyła pod szparagiem. Zawiązała sobie szybko chustkę na głowie i zbiegła po schodach w dół, trzymając się za obręcz. Za nią biegła dziewiątka kotów. Jedna kotka właśnie wczoraj urodziła młode. Bóg wie gdzie je ukryła, Bóg-wie-gdzie, Bóg-wie-ile.

Szybkim krokiem przestąpiła betonowy próg domu, złapała się za pień bzu i przebrała domowe kapcie na robocze gumowce. Potem szybkim krokiem pomaszerowała na zbocze. Chryste, co za błoto. Mijała orzechowiec, śliwę, gruszę. Szła przez pokrzywy. Na szczycie stromo pod górę jeździły trzy traktory z przyczepami. Do ich wielkich kół przyczepiało się błoto i powyrywana trawa. Jeździły zwisając ze stromizny do doliny, że nie szło patrzeć. Teraz, teraz

sturlają się w dół. Jak traktor się przewróci, nic go nie zatrzyma. Czegoś takiego jeszcze nikt nie przeżył. Jeździły powoli, ona biegła, minęła jonatana, antonówkę i papierówkę, pierwszą równinę, potem następną, pod górę, w kierunku tych trzech, które już zniknęły za wzniesieniem i jechały prosto grzbietem zbocza.

Lojz, a teraz słuchaj, Lojz, słuchaj, co ci teraz powiem, bo inaczej wytargam cię za uszy. I nie będzie mnie obchodzić, czy jesteś przewodniczącym czy samym Bogiem czy świętym. Razem ze mną masz trzy klasy, tylko że ja noszę gumowce, a ty krawat. Lojz podniósł rękę i powiedział:

- No, no laleczko, powiedz, co złego ci zrobiłem.

Ja ci dam laleczko, będziesz robił ze mnie idiotkę. Stoję na swoim, a ty od jakiegoś czasu na kradzionym. Nie będę cicho, teraz nie będę cicho. Widzisz ten dom tam na dole, widzisz ten czarny bez. Jeszcze trochę i wypuszczą liście. Widzisz ten orzechowiec. Trzy traktory przewiozłeś sobie przez nasze zbocze, moje zbocze. A ja szłam pieszo za nimi, od tego orzechowca tam, widzisz? Tak na marginesie zmówiłam trzy razy Ojcze nasz. Bóg mi świadkiem, tak kolana mi się trzęsły widząc traktory zwisające do doliny. A chłopcy sami młodzi. Powiedz, kupiłbyś im za tysiaka niebo, jakby któryś z nich się przewrócił i spadł w dół, powiedz, Lojz, panie Lojz! na państwowych plantacjach ścinasz jabłonie!

- Teraz to są moje plantacje, laleczko, które stare państwo sobie wzięło, a nowe sprawiedliwie zwraca,

cicho bądź, złodzieju!, sprawiedliwość to nie jest odpowiednik brudnego języka!

z drugiej strony wzniesienia zbocze formowało się w szeroki grzbiet, a na poboczach siej, siej, siej młode kwitnące jabłonie. Jeszcze trochę i wypuszczą liście, zielono, zielono, hektary, zaraz, zaraz wszystko będzie zielone. Potem przyjdzie maj i wszystko będzie białe, białe, jasnoróżowe. I przyjdzie sierpień i wszystko będzie czerwone, pełne, ciężkie, słodkie, czerwone. A w październiku wszystko stanie się żółte, żółte, pomarańczowe i złote. I przyjdzie zima, na zboczu wszystko będzie spało, martwe i zimne, pod pierzyną, chłód, błoto i glina spłyną do doliny. Jeśli korzenie jabłoni nie zahamują wszystkiego. I teraz, teraz, gdy przychodziło zimno, świeci słońce.

- Ach, laleczko, sad jest nieopłacalny. Za pole na stromiźnie dostaję dofinansowanie ze skarbu państwa! Jeśli człowiek potrafi się w życiu znaleźć, nie znaczy, że jest złodziejem. Państwo zwróciło pieniądze tym rolnikom, którzy nie chcą być rolnikami. Dla twojej wiadomości, młody poszedł na policjanta do Velenja, wszystko sprzedał. Dobrze to załatwił, niczego nie odpuścił. Ja odkupiłem to za uczciwe pieniądze, za uczciwe pieniądze pościnam i za uczciwe pieniądze sprzedam,

cicho bądź, złodzieju!, uczciwy to nie jest odpowiednik brudnego języka!

trzech młodziaków piłami motorowymi ścinało pień za pniem, hektary, hektary. Kwitnące jabłonie padały szumiąc, szumiąc gałęziami podczas upadku na ziemię, miękką, błotnistą, gliniastą. Teraz, teraz, wszystko mogło być zielone, wszystko białe, wszystko czerwone, wszystko złote, teraz, teraz, piły charczały brrrr, jabłonie padały szszszsz, a Lojz wyciągał ręce w jej kierunku, długie, cienkie, człapy. Chciał ją poklepać po ramieniu, po łopatkach, po plecach, marsz!, otrząsnęła się, marsz ode mnie!, nie będziesz wyciągał do mnie palców,

- Laleczko, no, nie złość się, przecież zostawię ci tutaj na górze trzy jabłonie. Będziesz mogła zbierać jabłka dla wnuków. Co o tym myślisz, laleczko, no,

wyciągał ręce w jej kierunku, długie cienkie dłonie, podłużne, kanciaste łapy. Chciał ją poklepać po łopatkach, po plecach, po krzyżu, marsz!, że też ci nie wstyd wstrętny babiarzu. Poleciałbyś nawet na własną matkę. Powiedziałam ci: dobrze się mnie słuchaj. Mówiłam ci: wytargam cię za uszy. O niczym już nie myślała, już nic jej nie obchodziło. Nieważne czy jest przewodniczącym, czy samym Bogiem czy świętym. Chwyciła go za dłoń i pociągnęła za rękę, podłużną, kanciastą, cienką łapę. W oblepionych błotem roboczych gumowcach, z wychodzącymi spod chustki włosami, mocnymi jak sznurek i czarnymi jak wrona, ze świecącym się czołem i błyszczącymi oczyma wlokła go po równinie i przez wzniesienie, do stromizny. Obróciła się zamaszyście i energicznym ruchem wypuściła go z rąk, że ten sturlał się po stromej drodze do doliny. Turlał się po błocie i powyrywanej trawie obracając jak bączek, wyciągając donikąd ręce, dłonie, palce. Gdyby nie było tak mokro, zatrzymałby się, a tak trawa wyślizgiwała mu się z uchwytu i ręce pałętały na przełaj. Ona stała na szczycie i patrzyła, jak spuszczał się coraz bardziej w dół, coraz bardziej w dół. Trzech młodziaków zostawiło piły i biegło za nim. Łap go, trzymaj, leci!, słońce oświetlało strome zbocze. Gdy pędząca procesja zatrzymała się na dole, pod orzechowcem, w pokrzywach, ze stajni wyjrzał Pep, a ona zawołała, Pep!, słyszysz! Pep!, leć, leć zobaczyć!:

- Przewodniczący się nie rusza! Na dole pod orzechowcem zżera go uczciwe sumienie!

Nie mogę

uwierzyć, towarzyszko, że wyjechała do Amsterdamu, a ty, ty, do Holandii. Kto by pomyślał. Towarzyszko, chyba się nie gniewacie, że tak się do was zwracam. Przyzwyczajenie to przyzwyczajenie, wiecie, jak to mówią, człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, nawet jeśli obok cienko przędzie. To nie tak, towarzyszko, ach, gdzie te czasy, kiedy trzymaliśmy się jak papużki nierozłączki tam na dole przy potoku. A ona ci jedzie za granicę. Patrz tylko, żeby wam tam nie wyszła za mąż. Tylko że ona nie jest tak religijna, prędzej rzuci się wam po, co, bez urazy. Towarzyszko, ja wolę mówić prosto z mostu niż za plecami. Tutaj na poczcie wszyscy wszystko wiedzą, na Boga, na diabła, wiedzą wszystko i jeszcze więcej. Wiecie, trochę posolić, trochę

popieprzyć, żeby było łatwiej przełknąć, prawda towarzyszko?, ja to jestem stara listonoszka, ech. Przecież trzeba ze sobą rozmawiać, prawda?, już i tak wszystko jest na cenzurowanym, jak to mówią, towarzyszko. Tylko pozdrówcie mi cudzoziemkę, tak, tak, mocno ją pozdrówcie, ach, gdzie te czasy, prawda?, przecież wiecie, jak to mówią.

Stała na środku kuchni i gapiła się na półki z książkami. W rękach trzymała kilogram mąki i nawet nie myślała o tym, jak upiec gibanicę[1] w piecu elektrycznym. Dzwoniła do mamy, lecz ta nie odebrała. Pewne nie słyszała, nie słyszała, nie chciała, albo tylko gdzieś za domem podlewała trawę, wyrzucała gnój, oprzątała, albo Bóg-wie-co, Bóg-wie-kogo.

Spóźniała się do pracy nie wiedząc, co ma założyć na swoje czterdziestopięcioletnie urodziny, gdzie wcisnęła portfel, gdzie dostanie zaprawę murarską do domu siostry, albo czy młoda tam na północy jest w ogóle jeszcze żywa i ile dekagramów cukru potrzeba na 250 gram twarogu.

Dzwonek nie zadzwonił a pukanie było zbyte ciche. Gdy drzwi się otworzyły, stała przed nimi w samym biustonoszu, ze świecącymi wokół pasa trzema pierścieniami tłuszczu, cellulitu, wyraźnej barokowej estetyki. Fartuch z logiem lokalnego klienta był ubrudzony mlekiem. Jak na swoje lata wyglądała cudownie. Była cudowna mimo wszystko.

Trzeci pogrzeb w tygodniu. Wydawało jej się, że dzwony kościelne dzwoniły rano zbyt długo. Trzeci pogrzeb, trzecia mowa. Szanowni krewni, czcigodni przyjaciele, zebraliśmy się tutaj dzisiaj, żeby pożegnać. Pierwsi krewni przyjdą teraz, drudzy za pół godziny, pierwsi powiedzą, że zmarły był dobrym człowiekiem, drudzy, że był świnią, pierwsi krewni nie rozmawiają z drugimi a drudzy mają z trzecimi nierozwiązane kwestie. Ale: przecież będzie pan potrafił to ładnie ująć w słowa, co, nie chcielibyśmy, żeby się wokoło za dużo mówiło...

Powiedziała, moje wyrazy współczucia i zakrywając piersi ścierką zaprosiła ubranych na czarno gości do środka. Przepraszam, powiedziała, piekę gibanicę.

Podczas zapisywania minionych wydarzeń, dzwonili z pracy cztery razy. Przyjdę, powiedziała. Tylko upiekę gibanicę.

Ciasto udało się wyśmienicie. Jeśli nie wsypałaby tak dużo drożdży, pewnie nie wydymałoby tak konsumujących.

Portfel był w pracy.

Siostra jest w ciąży po raz trzeci.

Na północy nic nowego.

Szanowni krewni, czcigodni przyjaciele, dzisiaj żegnamy.

[1] Ciasto słoweńskie, podawane w Słowenii na wyjątkowe okazje, stanowiące połączenie makowca, sernika i jabłecznika. Pochodzi z regionu Prekmurje na wschodzie Słowenii.

Na czterdzieste piąte urodziny miała założony biały biustonosz i trzy pierścienie wokół pasa. Włosy spięła dwiema spinkami koloru niebieskiego i była cudowna mimo wszystko.

Zawsze

myślała, że panika to zwykłe, ślepe, bezmyślne i wrzaskliwe urojenie w pierwszej kolejności panikarek, które piszczą zaraz po tym, jak zobaczą mysz, pająka lub owłosione ręce, a dopiero potem wszystkich tych, którzy mają problemy ze sobą i ze zwracaniem na siebie uwagi. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś tak po prostu krzyczał biegając w kółko jak kurczak bez głowy. Oczywiście nie liczą się czasy wojny i stanów wyjątkowych, bo to nie jest panika, lecz po prostu śmierć. Szła przed siebie a bezsilność spowodowana brakiem oddechu ściskała ją za gardło i kolana z taką siłą, że ledwo orientowała się, gdzie jest, co robi i kto na Boga wcisnął jej do ręki metalowy dzwonek do roweru. Po jej prawej stronie kroczył starzec imieniem Bepi a po lewej potargana dziewczynka z wielkim zapędem do szkoły. Ulica amsterdamska o nazwie Visserplain została za ich plecami, pogoda mieszała się jak to w kwietniu, a w twarz śmiała jej się zwykła, wrzaskliwa, ślepa, bezmyślna, lecz potworna – p.a.n.i.k.a. Co jeśli mnie znajdą, co jeśli mnie złapią, kto zapłaci kaucję i co to w ogóle jest bezpieczeństwo państwowe? Na każdym rogu widziała ochroniarzy i policjantów, którzy z ogniem w oczach pokazywali na nią palcem, wiza, wiza, wiza, wygnanie, wygnanie, wygnanie, płać, płać, płać, hasta la vista, ofiaro losu, uspokój się, nie szalej, takie rzeczy dzieją się tylko w filmach.

- Najpierw musimy jechać na lotnisko, Bepi, z tą plamą od kawy nie mogę wyjść między ludzi!

Dziewczę jednocześnie rozpaczało i rozkazywało. Co jakiś czas zatrzymywało się butami w twardo kostkowanym chodniku i ciągnęło starca za rękaw i ręce, stój, stój, najpierw mi powiedz, dokąd idziemy.

Starzec uprzejmie prowadził ją za sobą. Señorito moja, musimy zadzwonić do Josephine, zanim w Indiach zajdzie słońce. Znowu pokrył jej ramiona swoim swetrem i wielka pętla z rękawów zakryła plamę od kawy.

- Dziękuję, Bepi, jesteś moim mistrzem.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego, po czym znowu skierowała swoją uwagę na nią:

- Bepi jest sam, wiesz, do tego sam gotuje, najsmaczniejsze luksusowe dania. Josephine zawsze stara się powtarzać po nim, ale nigdy jej nie wychodzi. Do gotowania trzeba mieć wrodzony talent, a jej się wyraźnie nie poszczęściło.

Absurdalna panika w jej gardle powoli przeradzała się w dziewczęcy śmiech, a wezwanie na policję w lewej kieszeni spodni topiło się w najlepsze:

- Kiedy przyjechałaś do Amsterdamu?

- Wczoraj, samolotem.

- Wczoraj?

- Acha. Ale byłby ubaw, jakbym widziała to na własne oczy! W Europie coś się zablokowało, ktoś zrobił małe zwarcie i cały wieczór nie było prądu. Mówię ci, dziki chaos, zupełna ciemność, ludzie są bardzo nieobliczalni, prawda?, kiedy chodzi o pilną sprawę. Stewardesy wychodziły z siebie, bały się, żeby mnie nie ukradziono po ciemku, cały czas pilnowały z latarką wzbudzając tym zazdrość u innych podróżnych. Co za przedstawienie, co za scena, mówię ci, nawet sobie nie wyobrażasz.

Poczuła ból w głowie, tak bardzo obrazowała sobie to wszystko i tak bardzo chciała wymazać z historii wczorajszy wieczór.

- Bepi, Bepi, głód! W następnej budce weźmiemy frytki. Proszę, proszę. Tak?

Dziewczynka pobrzękiwała jedno, a Bepi szedł dalej. Ona szła za nimi nie zastanawiając się, dokąd idzie. Zastanawianie się = panika. W żołądku dawało się we znaki opętańcze wezwanie, a w mózgu sankcje.

Nie myśl. Nie wyprzedzaj faktów. Nie przechodź przez ulicę na czerwonym świetle.

- Która jest teraz godzina u mojej mamy?

Turyści przy kanale zbierali się na podwieczorek. Na przystanku tramwajowym coraz bardziej wrzało. Wiatr ustał, chmury się zatrzymały i po drugiej stronie ulicy pokazała się witryna: Internet & phone. Rozmowy międzynarodowe. Połączenia międzynarodowe. Całe drzwi wejściowe były oblepione egzemplarzami najbardziej przystępnych kart telefonicznych, osiem euro do Tanzanii, siedemnaście na cały rok po Europie, trzydzieści dwa centy na minutę do Słowenii. Między nimi rozpościerała się ogromna mapa świata, podzielona na strefy telefoniczne. Pierwszy wszedł Bepi.

Zadymiony lokal z kabinami telefonicznymi i mnóstwem komputerów pilnowała młoda Surinamka w długich włosach, siedząca za ciemnym barem, przyozdobionym jasnymi świetlówkami z choinki bożonarodzeniowej. Na powitanie wyszczerzyła dwa rzędy śnieżnobiałych zębów i zaproponowała im smażone banany na talerzu, chrupiące jak chips i słone jak morze: banany są za darmo, za napój trzeba już zapłacić.

Starzec i dziewczynka weszli do kabiny i zamknęli za sobą drzwi. Ona zrobiła to samo, w małej metr-na-metr celi obklejonej ciemnoszarą wykładziną, przesiąkniętą zapachem papierosów, coli i przepoconymi-gorącymi-długimi-gniewnymi-rozpaczliwymi rozmowami na odległość. Słuchawka była tłusta od trzymania, krzesło wytarte od siedzenia, na klawiaturze brakował przycisk do zwiększania głośności, zza cienkich montażowych ścian dochodziły krzyki

typu: ABDAM, KURI!, KURI ZAKI!, WHYS?, NO, KIJLK, PLEA..., PLEA DŽU, JOSEPHINE, TO TY, DABAM ANIKI!

W środku cyberkawiarni w centrum miasta Amsterdam do skóry lepiła się jej zmora po wykładzinowym losie, a do uszu dobiegały mimochodem wszystkie rozmowy z sąsiednich kabin.

(Dobrze przynajmniej, że nikt tu nie mówi w tym samym języku. Mogą się drzeć, ile chcą, a i tak nikt nic nie rozumie... no. Przynajmniej ja.)

Podniosła tłustą słuchawkę i trzymając ją w ręce, powoli wpisała kod wyjściowy Holandii, a następnie numer kierunkowy do Słowenii, kod regionu i potem... numer domowy. Słuchawkę trzymała daleko od ucha, tak jakby ten, kto ją używał wcześniej miał przynajmniej wszy albo pchły. Usiadła na połowie zużytego krzesła i czekała. Tik tik tik. Numery przyjęte. Pt pt pt. Połączenie wykonane. Tuu tuu tuu. Rozpoznanie.

Nie miała już ani jednej monety, żeby zapłacić za rozmowę. Trzydzieści dwa centy za minutę i półtora euro za wykonanie połączenia. Szybko przycisnęła guzik przerywający rozmowę i trzymała, trzymała, trzymała, do tego głęboko oddychała bojąc się, że może ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę, jeszcze zanim ona ją odłożyła. To by było półtora euro za puste nic. Puste nic w twojej kieszeni. Brawo. Spojrzała przez małą szklaną linię na drzwiach w kierunku młodej Surinamki. Żadnego ruchu. Żadnego poruszenia. Jeśli ktoś by odebrał, na pewno zapisałaby. Rachunek albo obserwację albo coś. Nic nie pisała. Nikt nie odebrał. Dobrze.

Opuściła z powrotem wzrok na zużyty aparat telefoniczny jedną ręką ciągle trzymając przycisk przerywający połączenie. Znowu podsunęła słuchawkę do ucha. Cisza w niej przypominała pauzę na starym walkmanie na kasety. Wiesz, na kasecie jest głos, tylko przycisk go blokuje.

Cześć mamo, tu Jana. Co robisz? Co słuchać? U mnie dobrze. Zawsze dobrze. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Najlepszego, wiesz? Idę. Pada deszcz. Tak, tak, mam parasol. Tak, tak. A ty?

Głosy w sąsiednich kabinach były intensywne, darli się, przeklinali, tłumaczyli i szczebiotali, ABDAM, KURI! KURI ZAKI!, WHYS?, a ona na wpół stojąc, na wpół siedząc w środku metr-na-metr ciemnoszarej celi w swojej quasi-telepatii: najlepszego, wiesz?, i quasi-przekonaniu, że jeden telefon w tą albo drugą stronę nic nie zmieni.

Nic.

(Był luty i on się trząsł. Mogłaby umrzeć ze strachu. Nigdy wcześniej jeszcze nie widziała tak niebieskiego nosa. Dziadku, dobrze wyglądasz, powiedziała do niego. Pierdoła, mogła być cicho. Dziadku, no, prawie w ogóle się nie widzimy, dokąd jedziesz, mówiła, dokąd znowu jedziesz, dziadku. Na północ. Na święta będę z powrotem i wszystko ci opowiem. Mała, uważaj na siebie. Dziadku, ty na siebie uważaj, do zobaczenia, do zobaczenia wkrótce, dziadku, przed świętami. I niemal umarłaby ze strachu.)

Cisza.

Telefony przenoszą wiadomości. I niektóre wiadomości lepiej zostawić dla siebie.

Tuu tuu tuu.

Puściła przycisk przerywający połączenie i w słuchawce znowu ktoś się odezwał. Linia była wolna. Nie było nikogo czekającego na połączenie.

NO, KILJK, PLEA... PLEA DŽU, DAMBAM ANIKI.

Jeśli prawdą jest to, co powiedział kiedyś jej brat, że jej serce jest twarde jak skała, musiałoby ją teraz rozsadzić, tę skałę w środku, na tysiąc małych kawałków, eksplodujących z całej siły i kłujących ją teraz w płuca, wątrobę i gardło. Jeśli prawdą jest to, co powiedział kiedyś jej brat, teraz, teraz musiałaby utonąć we własnych łzach. Z taką ilością rozdrobnionego kamienia w żołądku człowiek nie może utrzymać się na powierzchni.

- Mamo, mamo, Bepi przygotował mi pokój pełen tulipanów.

Josephine po drugiej stronie słuchawki śmiała się. Mógł słyszeć, jak w odpowiedzi dziewczynka radośnie krzyczała, w przerwach łapiąc oddech. W środku ciemnoszarej ciasnej kabiny potargane dziewczę siedziało mu na kolanach, od czasu do czasu przystawiało mu słuchawkę do ucha, na chwilę, potem znowu ją zabierało i opowiadało dalej podekscytowane. Nie było możliwości, żeby oboje w tym samym czasie śledzili tok rozmowy. Na aparacie telefonicznym brakowało przycisku przełączającego głos na głośnik, dlatego tylko w połowie słyszał, co Josephine wbijała do głowy dziewczynce, i w połowie rozumiał, o co go pytała, gdy miał słuchawkę przy uchu.

- Dziadku, a jak twoje ramię, jak serce?

Robiło mu się nieznośnie gorąco. W zatęchłej metr-na-metr celi mlecznożółte światło na suficie zlewało się w zapach męskiego tyłka i wiatrów, potu i wysuszonej puszki piwa, która czort-wie-ile-już-czasu leżała na półce z telefonem. Dziewczynka na kolanach nie potrafiła usiedzieć spokojnie ani przez chwilę i za każdym razem, gdy Josephine mówiła coś pouczającego, podskakiwała lekko i zatrzymywała całym swoim ciężarem na jego biodrach. Mamo, rozumiem, mamo, tak zrobię, nie martw się, mamo, wszystko ustalimy z Bepim.

Głos Josephine szczerbił w słuchawce a zachwyt w oczach dziewczynki wzrastał. Oparł się z powrotem o ścianę i zawiesił wzrok na wydartej żółtej stronie z książki telefonicznej, którą ktoś przyczepił małym gwoździem do wykładziny: Jesteś samotny, kowboju? Masz ochotę na zabawę, macho? Krótkie numery telefonów były podkreślone na czerwono, a pod każdym z nich był przyklejony taśmą klejącą, jak zgadywanka, mały kwadratowy kawałek papieru, który musiał zakrywać drobny druczek pod numerami. Wyciągnął prawą rękę do jednego z nich i odchylił. Mógł się domyślić. Każdy numer ma swoją twarz. I parę roznegliżowanych wrzących piersi.

Przygładził z powrotem papierową zgadywankę, zakrywającą pornografię w miejscu publicznym, dostępną także osobom poniżej 18 roku życia. Spojrzał na potarganą głowę, która szczebiotała do słuchawki i odpiął sobie w tej wykładzinowej gorączce dwa górne guziki koszuli. Potem lewą nogą lekko popchnął drzwi kabiny, ta otworzyła się i wpuściła trochę powietrza. I tak ściany montażowe przepuszczały dźwięk jak spowiednica w kościele treść rozmowy nieszeptanej. Lekko zmienił pozycję i dziewczynka na kolanach straciła równowagę. Westchnęła, ciao, Josephine, oparła się plecami o jego piersi i mechanicznie przekazała mu słuchawkową sztafetę:

- Ciao, Bepi, trzymam kciuki... uważajcie na siebie.

- Josephine...!

- Bepi?

- Osiemdziesiąt do sto wierszy. Chodź powoli.

- Dziękuję, Bepi.

- Powoli!

Gdy dziewczynka usłyszała, ty stary małpiszonie!, szybko odwróciła się na jego kolanach. Pisnął, uważaj na słowa! Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się z powagą. Głęboko, głęboko westchnęła, otarła się pod jego ramieniem, wzięła mu słuchawkę z rąk, przystawiła do ucha, i gdy nie było tam już żadnego głosu, nacisnęła guzik przerywający połączenie. Tak. Po wszystkim. Odłożyła słuchawkę. Sama w domu do jesieni:

- Bepi, jak to nie jest luksus!

W tym samym momencie zeskoczyła mu z kolan i otworzyła szeroko drzwi kabiny. A teraz patat met!, szybko się odwróciła i zawołała zmartwiona, Bepi, nie!:

- Zapomniałam zapytać, która jest teraz u niej godzina.

Prawą nogą lekko tupnęła w podłogę, uderzyła dłońmi o uda i, pffh, podeszła niezadowolona do lady. Młoda Surinamka hojnie odkrywała w zadymionym pomieszczeniu dwa rzędy swoich śnieżnobiałych zębów, stale patrząc gdzieś pod swój komputer nadzorujący. Wyraźnie czytała tam jakiś trzymający w napięciu kryminał/romans/list miłosny albo tylko malowała paznokcie.

Z ostatniej kabiny w rzędzie wyszła dziewczyna z mokrymi jeszcze włosami i niezmiennie bladą twarzą. Dziewczynka podeszła do niej z puszką oranżady. Jana, a co u twojej mamy, u mojej Josephine jest całkiem dobrze.

Gdy podszedł do lady, Surinamka robiła rachunek. Kabina jeden, kabina pięć? Wszystko razem? Przemoczona dziewczyna podeszła do niego z siatką jabłek w ręce i wbiła wzrok w ekran, na którym były oznaczone kabiny, a pod nimi kwoty. Kabina jeden, siedem dwadzieścia, kabina

pięć, euro i pół. Miał wrażenie, jakby coś obok niego mdło zakwiliło, po czym dziewczyna powiedziała:

- Przecież z nikim nie rozmawiałam! Przerwało połączenie!

- Pewnie odezwał się faks albo automatyczna sekretarka, proszę pani. Albo odłożyła pani słuchawkę zbyt szybko. Teraz nie mogę pani pomóc, komputer jest automatycznie połączony z kasą. Jeśli pani nie zapłaci, będę musiała pokryć koszty z własnej kieszeni.

Na twarzy dziewczyny pojawiły się niespotykane zmarszczki, mokre włosy opadły jej na oczy i policzki. Powiedział, proszę policzyć razem, i tak nie mam drobnych. Dziewczyna kręciła głową mówiąc w przerwach, to-niemożliwe-tylko-trzy-razy-zadzwoniło. Oczy miała brązowe, tak strasznie, strasznie głębokie, i jeśli nie dostałaby kurczowego ścisku szczęki, kwiliłaby jak zranione zwierzę.

Spojrzała na niego w górę i zawstydzona powiedziała, dziękuję, panie Bepi. On odparł, nie ma za co. Dziewczynka piła oranżadę. Ona wzięła platynową siatkę z jabłkami na ręce, obróciła się wokół swojej przemoczonej osi i jednym krokiem wyszła z mrocznego lokalu na miasto. Dziewczynka szła obok sącząc przez słomkę ostatnie krople z pomarańczowej puszki. Ona szła ze spuszczonym wzrokiem. On niezadowolenie syczał pod brodą, ale ze mnie głupek, dio santo, stary nikczemnik, że też nigdy nie możesz wpaść na coś w odpowiednim momencie, powinieneś był ją wysłać z powrotem do telefonu. Stał przy ladzie i czekał na resztę. Patrzył na nie przez kiczowate reklamy jak stoją na zewnątrz przed wystawą. Dziewczynka rozkładała ręce do nieba, a dziewczyna nieprzerwanie patrzyła w dal. Wokół nich „amsterdamił" się nieprzewidywalny kwiecień. Surinamka z fioletowymi paznokciami wydała mu przez ladę resztę.

- Ruszaj się, Bepi, niektórzy są głodni!

Na rojącym się od ludzi chodniku wiatr wiał w kierunku mostu przecinając kanał. Dziewczynka chciała patat met frytki z majonezem. Złapał ją za rękę i ustępliwie westchnął. Niech ci będzie, na pierwszy dzień w Europie. Budka z frytkami była po drugiej stronie ulicy prowadzącej do centrum. Przed przejściem właśnie zapaliło się czerwone światło. Nie było ani jednego samochodu. Nie miał wyjścia, zakrył dziewczynce dłonią oczy mówiąc, moja señorita, tak się nie robi, i objąwszy ją za ramię przeprowadził na drugą stronę przejścia, przez ulicę, na czerwonym świetle. Naraz uświadomił sobie, że po lewej stronie czegoś mu brakuje. Obejrzał się za siebie i po drugiej stronie białych pasów, między pozostałymi czekającymi, stało wpatrzone w czerwone światło, mokre i całe blade.... zranione zwierzę.

- Wygląda panienka na trochę zmęczoną.

Nic innego nie przyszło mu do głowy. Ale ze mnie głupek, dio santo, stary nikczemnik. Zostawił dziewczynkę na krześle przed budką, zamówił jej patat met, po czym przebiegł przez przejście. Ona ciągle jeszcze stała przed przejściem, mimo że światła zmieniły się już dwa razy. Stała tam po drugiej stronie ulicy i patrzyła gdzieś w górę, w chmury.

- Panie Bepi, wierzy pan w telepatię?

Złapał ją za rękę i cicho westchnął. Panienko, ciężkie tematy jak na takie ponure popołudnie. Ona tylko niepocieszenie wzruszyła ramionami wzbudzając w nim wyrzuty sumienia. Przy mojej wierze nie myślałem, że będę, ale tak, wierzę, a panienka? Uśmiechnęła się z wdzięcznością i jeszcze raz wzruszyła ramionami. Ja też, pewnie tak, nie mam pojęcia. I znowu zapaliło się zielone światło, znowu czerwone, znowu zielone. Na przejściu zmieniały się prądy, góra i dół, tam i z powrotem. Ludzie przechodzili, szli, czekali, stali. Dziewczynka po drugiej stronie machała do nich frytkami. Chmury rozproszyły się na kwietniowym niebie. Chodzili po białych pasach szybko, powoli, z laską spacerową, na rolkach. On stał przed nią jak słup soli, ona w mokrych rękach trzymała siatkę z jabłkami. Panienko, powiedział delikatnie i powoli,

- Wszystko jest kawałkiem czegoś większego.

Spojrzała na niego uważnie, z mokrymi włosami. Tam pod mostem woda płynęła w dół, obok i dalej, daleko. Czekała zasmucona zastanawiając się, co się wydarzy. A on uśmiechnął się i mrugnął:

- I czyim kawałkiem jesteś ty?

Czasem tak się dzieje, że dzień otwiera się jak pokrywa na pianinie. Klawisze grają same od siebie, przed oczami kłania się balerina. Fortepian gra, ona kręci się w powietrzu, rzucając tylko jedno spojrzenie, jedną muzyczną szkatułkę, melodyjną i delikatną, w środku rozstrojonego kwietnia.

(A czyja ty jesteś?)

Nagle tuż po nosem zapachniały jabłka złoty delikates, tak jakby zerwały się w sobotę na plantacji, na tamtym zboczu, spadły świeże i leciały przez oset i dziewięćsił bezłodygowy, po zboczu w dół, w dół, jojojoj, po skoszonym trawniku, w dół, w dół, i zatrzymały na dole na środku pola, gotowe do zebrania, w częściach, na polu między setkami pomarańczowo-złotych dyń.

- O, Bepi, ale się objadłam.

Dziewczynka trzymała się za brzuch i śmiała jednocześnie, podczas gdy przed budką patat met roiła się długa, głodna kolejka. Bepi podniósł ją i zawołał, jaja, siñorina, cztery kilogramy więcej! Dziewczynka odparła z powagą, Bepi, ty to dopiero jesteś pierdoła. A jej było zimno jak w psiarni. Nad kanałem znowu zbierały się chmury. Zamrugała trzy razy, mocno i zdecydowanie sygnalizując, teraz albo nigdy. Głęboko westchnęła i sięgnęła do kieszeni. Zanim przemoczyło ją do suchej nitki, wyciągnęła wezwanie na światło dzienne. Zużyte, rozmiękczone, wystarczająco dużo razy przeczytane. Panie Bepi, powiedziała, to mi przysłano, a ja nie mam pojęcia, co mam zrobić. Podsunęła mu pod nos zniszczoną kartkę papieru i z serca, które było pewnie skałą, z wysokości metra lub dwóch spadł jej wielki kamień. Potem wylało się z niej wszystko, o zwarciu elektrycznym, rowerze i dziecięcym fotelu, o Yi Min i chłopcu, pół Chińczyku i pół Afrykańczyku, który nauczył ją mówić księżyc, o gnuśnym Turku i o małych

dyrygentach, o jedynej pracy, którą znalazła i ją straciła, o chłopaku na wrotkach pukającym ją w czoło, o deszczu padającym jej za kołnierz, o niebezpieczeństwie bezpieczeństwa państwowego, które nie było jej, o panice i melancholii, o chrzanie i Wielkanocy, o mamie, która miała urodziny i dwie niebieskie wsuwki, o koleżance ze szkoły podstawowej pracującej na poczcie i mającej troje dzieci, o dziadku noszącym spodnie na kant, o babci piekącej chleb, o bracie, który powiedział jej, że zamiast serca ma skałę i o bzie, który teraz będzie kwitł.

(Co mi jest. Przecież to nieznajomy).

Wpatrując się w wezwanie powiedziała jeszcze coś o wizie, wygnaniu, niebezpieczeństwie i pieniądzach, po czym odetchnęła z ulgą i nie powiedziała już nic więcej.

- Przy mojej wierze,

rozłożył ręce Bepi,

- Nie mogą ci już nic więcej wziąć.

Nawet nie zdała sobie sprawy, jak i kiedy stali przed ruchomymi drzwiami, nawet nie zauważyła, kiedy już siedzieli w biurze.

- Panna?

- Jana. Jana K.

- Przynależność narodowa?

- Słowenia.

- Sło-we-nia.

- Numer paszportu?

- Tutaj.

- Chwileczkę, komputer procesuje.

(Bepi, Bepi, co im powiesz, jak cię zapytają, kto jest moim prawdziwym tatą? Bepi, Bepi, nie zapomnij im powiedzieć, że już umiem pisać. Bepi, Bepi, powiedz, że lubię tulipany. I że moja mama ma na imię Josephine. Powiedz.).

- Panna Jana K. Jest! Zobaczmy. K., Jana. Zagrażanie bezpieczeństwu państwowemu. Tatata. Tatata. Mhm. Acha. Taktak. Jasne. Mhm. Wiza. Acha. Wiza! Yyyy. Tak. Mhm. Widzięwidzę. Taktak. Wezwanie straciło ważność.

- Słucham?

(Wiedziałam. Za późno. Teraz to dopiero będą sankcje).

- Dwudziestego siódmego o szesnastej trzydzieści cztery nieznajomy wkradł się do wysoko chronionego systemu komputerowego XXL. Zrobił to z biblioteki ze stanowiska Uniwersytetu w Amsterdamie na komputerze PO668310L, którego w tym czasie używał użytkownik numer 21017100, zgodny z pani hasłem wydziałowym. Dlatego mamy prawo sądzić, iż do systemu komputerowego XXL wkradła się pani osobiście, panno, yyyy, panno Jano K. zamieszkała na, yyyyy, Oude West, Arabell van Dijk, zaburzona psychicznie.

(Słucham? XXL? Co to w ogóle jest XXL? Co to w ogóle...)

(Bepi, co ona do mnie mówi? Powiedz jej, że byłam już w Amsterdamie razem z Josephine).

- Ale, jak wspomniałem już na początku zdania, osobą, która wkradła się do systemu, wyraźnie nie była pani.

(Ok. Ktoś robi tu sobie ze mnie żarty.)

- Tylko ktoś inny.

(Więc?)

- Kto używał pani hasła.

(Pięknie.)

- Może być pani wdzięczna tylko kamerom, dzięki którym zauważyliśmy różnicę. Ten człowiek był mężczyzną.

(No, to jest różnica.)

- I na nagraniu to dobrze widać.

(Powód więcej, żebym zaczęła lubić kamery.)

- Co też oznacza, że wezwanie straciło ważność.

(Uau, naprawdę? Ale ja i tak nienawidzę kamer.)

- Przy czym nie jest to równoznaczne z tym, że jest pani niewinna.

(Jasne. Zbyt piękne, żeby mogło być możliwe.)

- W kraju jest pani nielegalnie.

(A. To.)

- Bez odpowiedniej wizy, wie pani?

(Tak, wiem.)

- Bez odpowiedniego pozwolenia, pamięta pani?

(Kosztuje 480 euro. Jeśli bym za nie zapłaciła, pamiętałabym to do końca życia.)

- Naruszenie przewiduje sankcje.

(No i jesteśmy w domu. Niech pan strzela.)

- 480 euro plus odsetki plus kara za niedozwolony pobyt, wynajem mieszkania na czarno, studia na czarno, pewnie też jakaś drobna praca na czarno, yyy, taktak, to będzie 14,30 euro na dzień z początkiem...

(14,30 euro na dzień? Sam pan to sobie wymyślił.)

- Kiedy pani wjechała do kraju?

(Bepi, Bepi, powiedz, że wczoraj było zwarcie i że czekałam na ciebie na lotnisku.)

- Nie pamiętam dokładnie.

- Panno, yyyy, panno Jano K. Nie ma sensu udawać. Wszystkie dane mam w komputerze. Jesteśmy połączeni z kamerami na wszystkich przejściach granicznych strefy Schengen.

(Przecież powiedziałam, że nienawidzę kamer.)

- Poza tym ma pani pieczątkę w paszporcie.

(Ok. Wszystko jedno. I tak nie mam kasy.)

- Kara wynosi 1.792,04 euro. Jeśli zapłaci pani teraz gotówką, będzie połowa.

(Panie policjancie, jeszcze przerwane połączenie telefoniczne za euro i pół musieli za mnie wyłożyć, chyba nie myśli pan poważnie.):

- Wydaje mi się, że nie będę mogła tego zapłacić. Przynajmniej nie od razu. Istnieje jakaś alternatywa?

- Mogą zapłacić rodzice. Może pani płacić w ratach. Może pani iść do więzienia.

(Jedna lepsza od drugiej.)

(Bepi, Bepi, kto pójdzie do więzienia. Ty?)

- Panie, ale... Słowenia za dwa tygodnie będzie w Unii Europejskiej i potem nie będą już potrzebne wizy.

- A pan jest tak doskonały, że może pan tak sam wyprzedzać fakty? Za dwa tygodnie? Za pięć miesięcy? Brawo! Wy z południa naprawdę jesteście szybsi od całej cywilizacji europejskiej!

(Albo szybsi albo bardziej zeszliśmy na psy. Jak pan chce.):

- Nie chcę być zbyt bezczelna, ale naprawdę nie widzę sensu, żebym płaciła za coś, co za dwa tygodnie będzie za darmo.

- Tego was uczą tam na dole, w waszym, yyyy, waszym Sarajewie?

(W Lublanie. Kretyn.):

- To nie ma żadnego związku z tym, czego nas uczą. Chodzi o czystą logikę.

- Błąd. Logikę. Panno, yyyy, Jano K., błędną logikę. Wystarczy. A więc, co mam napisać?

- Gdzie?

- Uregulowanie należności, co mam napisać?

- Zakręciło jej się w głowie. Ile powiedział? Tysiąc siedemset z czymś? O, Boże! Pół roku w Amsterdamie, cały rok w domu i cała wieczność w Sarajewie. Jak sobie chce. Nie przesadzaj. Skup się. Raty. Trzy raty. 1700 podzielić na trzy jest 500+, 570-; tysiąc siedemset to cały majątek.

- Proszę napisać prace społecznie użyteczne.

Bepi podszedł bliżej i usiadł obok niej mówiąc, prace społecznie użyteczne, dokładnie tak powiedział, jak w Jugosławii, brygady i tym podobne, czy jakoś tak, prace społecznie użyteczne, Bepi?, wodociągi i kanalizację w Amsterdamie już mają, Bepi. Nachylił się, przepraszam, że się wtrącam, może istnieje jeszcze jakaś inna alternatywa, to znaczy, jak już tutaj jesteśmy. Zalał się rumieńcem, wyglądał śmiesznie przebierając rękami między kolanami i:

- Pan?

- Giuseppe. Giuseppe B.

- Narodowość?

- Włochy. I Holandia.

- Podwójny paszport?

- Podwójny.

(Bepi, powiedz, że mi też dali pieczątkę do paszportu, gdy jechałam z Indii, powiedz.)

- Pana przypadek?

- Jak?

- Jaki jest pana przypadek?

- Chciałbym oficjalnie zaadoptować swoją wnuczkę, która przyjechała z zagranicy.

- M-acha. Narodowość?

- Holandia. I Indie.

- A kto jest jej ojcem?

(Bepi... Bepi... Powiedz...)

- Jej matka jest moją córką. Josephine B. Myślę, że to wystarczy.

(Bepi?... Wystarczy?... Naprawdę?)

- Jasne. Nie widzę żadnego problemu. Dopóki dopóty matka jest Holenderką i zgadza się na adopcję... Proszę chwilę poczekać, proszę, tylko odprowadzę pannę...

- Jest problem. Moja wnuczka musiałaby iść już do szkoły. A jest środek roku szkolnego. Córka nie mogła jej przywieźć wcześniej i... No, jeśli znalazłby pan kogoś, kto mógłby ją przygotować do egzaminu wstępnego, jesienią mogłaby iść od razu do drugiej klasy...

- M-acha. To prawda. Tylko wniosek o naukę w domu należało złożyć na początku roku. Nauczyciele są zajęci.

- Przygotowanie do egzaminu wstępnego do szkoły podstawowej może realizować każdy, kto ma wykształcenie wyższe, prawda? Jeśli się nie mylę, w ramach, jak to się mówi, prac społecznie użytecznych państwo do niepłacenia wynagrodzenia upoważnia także zewnętrznych współpracowników, którzy, no, w ten sposób, spłacają także dług, no, jeśli się nie mylę...

- Czy dobrze rozumiem? Chyba pan oszalał! Proponuje pan, żeby pana wnuczkę do przyjęcia do szkoły holenderskiej przygotowywała migrantka bez wizy?

Znowu zaczęło lać, padać, szumieć, podnosząc poziom wody w kanałach. Wody rosły, z kałuży robiły się jeziora. Bez parasola i z jabłkami w ręce biegła z posterunku policji do domu, a z oczu jej kapało. Na klatce schodowej już nie było wanny tureckiej, tylko jeszcze dwie duże dziury. Jabłka położyła na stole w kuchni. Rozwiesiła pranie, które wstawiła rano. Wzięła gorący, gorący prysznic. Już o wpół do siódmej zaczęły pierwszą lekcję,

w domu łodzi:

- Jana, jak napisać po słoweńsku Veronika?

Droga

przy dyskoncie znowu była zamknięta. Zamiast świateł byli policjanci a w kolumnach szaleńcy. Jedź dalej, co się zatrzymujesz. Głupku, nie widzisz, że wszyscy stoimy. Włącz migacz, jak skręcasz w prawo. Z przodu był karambol, trochę wyrozumiałości. Prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Proszę położyć ręce na kierownicę. Proszę opuścić szybę. Dziękuję bardzo, dank u wel. Tak, tak, ubezpieczenie kończy się piątego, niech pani tego pilnuje, piątego maja. Najlepiej by było zgłosić się już teraz na przegląd techniczny, wie pani, wcześniej się wypłaci. Pierwsza pomoc w bagażniku? Co ma pani na tylnym siedzeniu?, wino?, Barbera?, moja żona je uwielbia.

Jeszcze prawo jazdy poproszę, zgodnie z przepisami. Proszę, nie ma pani?, jak to?, proszę jeszcze trochę opuścić szybę. Proszę, przynajmniej jeden dokument. No, jak to nie, proszę opuścić szybę.

Policjant na środku amsterdamskiego korku przy włoskim dyskoncie Calice silił się na uprzejmość, podczas gdy kolumny blaszanych pudełek wychodziły z siebie. W każdy wtorek jechała do miasta na rowerze, a właśnie dzisiaj – policjant. Ręce położyła na kierownicy i opuściła szybę. Z tyłu dochodziło marudzenie. Zamiast nas sprawdzać, lepiej jakby pan kierował ruchem. Policjant jeszcze raz spojrzał na nią przez okno, po czym ona jeszcze raz powtórzyła:

- Nie mam prawa jazdy, mam zaburzenia psychiczne. Co się stało?

- Proszę pani, w ogóle nie wygląda pani na wariatkę. Ktoś uciekł z miejsca wypadku.

- Wygląd kłamie. W środku białego dnia?

- Ale moje oczy nie. W środku białego dnia.

- Tak czy inaczej jestem wariatką. Są świadkowie?

- Proszę pani, szczerze, proszę – gdzie jest prawo jazdy? Żadnych świadków.

- Powiem panu szczerze, że i wino na tylnym siedzeniu jest nielegalne. Ludzie z zaburzeniami psychicznymi nie mogą pić alkoholu. Proszę więc napisać rachunek, jeśli zobaczę jakiegoś zbiega, dam panu znać. Wariaci widzą lepiej.

- Pani...?

- Arabell. Arabell Van Dijk.

- Proszę mieć oczy otwarte.

- To zawsze.

- I do następnego razu proszę wymyślić lepszą wymówkę. Za jazdę bez prawa jazdy grozi kara jego odebrania.

Mała ulica po prawej wystarczyła, żeby uciec przed wieczornym korkiem. Drogami jednokierunkowymi i ślepymi uliczkami przemknęła do bloku Oute West, zaparkowała samochód bokiem, bez poprawki. W przedsionku, na dużej białej kartce papieru zawieszonej na tablicy ogłoszeń mieszkańcy zbierali podpisy – petycja przeciwko Turkowi z czwartego piętra i jego trzem siostrzeńcom, którzy w dwóch miejscach na klatce schodowej spowodowali milionową szkodę materialną. Żądano zapłaty i sankcji. Dwa razy rozejrzała się wokół siebie, podeszła do kartki papieru i, hrsk, zerwała ją z tablicy ogłoszeń. Została tylko zużyta zielona tablica, na której ktoś kluczem/gwoździem/ostrym przedmiotem wyrył: PUNK IS NOT DEAD, I LOVE DANY. Prawą ręką zgniotła petycję-papier i wcisnęła ją do kieszeni, w lewej ręce trzymała wino.

W mieszkaniu pachniało rozwieszonym praniem, a na stole leżała płócienna siatka z jabłkami. Nie wiadomo skąd wzięła się pierwsza mucha w tym sezonie i, bzzzz, latała po szalonym wynajętym mieszkaniu lokatorki z orzeczonymi przez sąd zaburzeniami psychicznymi, bzzzz, po szalonym pokoju, siadając na szalone ściany, szalone elementy, szalone meble. A jej nie chciało się nawet machnąć ręką lub wypuścić jej przez okno. Patrzyła na nią, jak swoimi przezroczystymi skrzydłami lawiruje w powietrzu. Tylko sprzątnęła płócienną siatkę jabłek kładąc ją na lodówkę.

Wzięła torbę i spakowała rzeczy. Jeden plecak i trzy pudełka. Znalazła w sypialni czerwony długopis, wyciągnęła z kieszeni wymiętą kartkę-petycję i na rozzłoszczonych podpisach w tabelce narysowała duży krzyż. Przewróciła kartkę i na drugiej stronie napisała szpiczastym pismem: Droga Jano.

Zostawiła w kuchni kartkę – na stole obok wina – i w jednej rundzie wyniosła rzeczy do przyczepy, czekającej na nią po drugiej stronie ulicy.

Jedź

do jeziora Šikal w krainie pod chmurami, gdzie będzie lokal, a tam na deser szarlotka i w korytarzu pikado. Lokal będzie pusty, a nad jeziorem tłumy. Spotkasz wędkarzy, ich synów, teściowe i siostrzeńców. Będą rzucali do jeziora spławiki, przynęty i wabiki, a za złowione rybie trofeum będzie przewidziana nagroda.

Wędkarze, ich synowie, teściowie i siostrzeńcy będą wierzyli, każdy z osobna, że dostaną uczciwie nagrodę i ją uczciwie spożytkują.

Będą rzucali spławiki, przynęty, wabiki i kawałki ciasta. Będą się modlili o szczęście, o umiejętności i o dobry dzień. Jak wędki się nagną i spławiki znikną, będą ciągnęli z całych sił i wyciągali na brzeg ryby z wąsami i białym brzuchem, małe, całkiem małe ryby, o których nie można powiedzieć, że są świętymi potworami albo świętymi rybami, lecz kijankami, z ogonkiem i zniesionymi ikrami sumik-diabłami. Będą ściągali kijanki z przynęt i rzucali je w krzaki, jedną za drugą, jedną za drugą, w suche krzaki, żeby się dalej nie mnożyły, kijanki i ich ikry, które przyszły nie wiadomo skąd i zapłodniły się tutaj, w jeziorze Šikal, w krainie pod chmurami. A wszystko dlatego, bo te małe ryby, z wąsami i białymi brzuchami żrą inne małe ryby i ich ikry. To wszystko tylko po to, żeby te małe ryby mogły raz stać się dużymi, silnymi, z wielką paszczą i masywnym kadłubem, prawdziwymi trofeami!, mogłyby, gdyby wcześniej nie pożarły ich kijanki, z ogonkiem i zniesionymi ikrami, które i tak już nigdy nie urosną więcej niż do wielkości dłoni. Przywędrowały do krainy pod chmurami nie wiadomo skąd. Tam mogłyby osiągnąć do metra lub dwóch długości, te kijanki rozmiarów potworów rzecznych. Tylko tutaj, tylko tutaj, w krainie pod chmurami te ryby zostają małe jak dłoń i łapczywe jak szatan. Dlatego trzeba je

wyrzucać, wyrzucać, niech tam zostaną, gdzie jest ich miejsce, trzeba je wyrzucać, do krzaków, żeby nie pożarły trofeum.

Kanał

napęczniał, howay man, napęczniał o trzysta diabłów. Lało i lało, a on rósł. Jeśli tutaj w środku nie ma morza, nic tu po mnie, hacky clart. W tym kanale jest morze, nie może być inaczej. Patrz, jaka woda jest zielona, brązowa, słomiasta, niebieska. Mam nos, to ci powiem, mam nos do takich rzeczy. Wiatr też wieje z północnego zachodu, gówniane gówno, to jest to, parszywe gówno, albo teraz albo nigdy. Jeszcze jednego przechylę, i idę, jeszcze jednego, i zobaczę, tururuu, Wor-England, jeszcze jednego.

Siedział na progu dwukołowej przyczepy kempingowej i jak mażoretka żonglował starym fletem.

Patrzył raz na drzwi piwnicy, na których było napisane dużymi literami Proost, raz w rwący kanał z północnego zachodu, niosący z sobą morze wschodniej Anglii.

Spod koszuli wydostawał się odór. Nie wiedział, jak ma się ustawić na tę szczególną okoliczność, na jaki dur powinien nastawić trubadurską romancę, ile dni płynie drewno z Newcastle i ile litrów piwa Original przypada na jedną drewnianą beczkę.

Nie widział kiedy przyszła, zbyt cicho się przywitała. Rzuciła mu się w objęcia. On krzyknął, howay man, i wypuścił flet z rąk na kolana. Jego twarz rozjaśniło weterańskie szczęście. Mała, niegdyś śnieżnobiała przyczepa była w sam raz na jej plecak i trzy pudełka. Sprzątnęli je i włączyli motorower.

Gdy historyczny motorower w końcu zapalił, zostawił go, żeby się ogrzał. Jeszcze chwilę, tylko skoczę do kanału.

Żona właściciela restauracji przyniosła mu z piwnicy beczułkę domowego wina i dwie butelki koniaku na drogę. Wypijmy na zdrowie, powiedział, tylko skoczę do kanału.

W zielonej, brązowej, słomiastej, niebieskiej wodzie w kanale wzbierał kwiecień. Usiedli razem na brzegu, pod jaworem. Poczekajmy, na pewno przyjdzie.

Pierwsza w tym roku przesyłka. Wydawało mu się, że w telewizji zapowiadali powodzie. Pierwsza przesyłka, trzy kawałki drewna na środku napęczniałego kanału na amsterdamskim osiedlu Oude West, trzy kawałki drewna. Wokół nich płócienne chustki, czarnobiałe, hacky clart. Za narodziny i śmierć, za prawdę i kłamstwo, za Newcastle Geordies.

Nie zabrali ich. Zostawili, żeby pływały dalej. Stuknęli się szklankami, na zdrowie, salute, proost, činčin. On zagrał na flecie. Wziął głęboki wdech. Ona czekała z otwartymi ustami. On

zapatrzył się w bloki mieszkalne i drogę tramwajową, w niskie chmury, płynące od kandelabrów do Belgii, do kanału, prosto z morza. A romanca trubadurska była jasna i delikatna, w zwyczajnym D-durze bez krzyżyków, bemoli i pauz.

Motorower był dwuosobowy, więc mogli jechać spokojnie. Lecz nie pojechali.

Przyczepa była przyczepiona z tyłu, trochę biała, mała i zbyt ciężka.

U najbliższego mechanika wymienili motorower na samochód dostawczy.

Przyczepa została.

Miał na sobie spodnie i koszulę weterana, a w oczach błysk.

Zawsze to ona prowadziła samochód, dokądkolwiek nie jechali, ukrycie ryzykując utratę prawa jazdy, którego ukrycie nigdy nie miała. Ukrycie miała otwarte oczy i on oczarowany ukrycie na nią patrzył. Ukrycie podśpiewywali sobie trubadurskie romance. Ukrycie pili wieczorami domowe ciemne piwo Original z piwnicy amsterdamskiej, na zdrowie, salute, proost, činčin, a we wtorki czerwone wino Barbera z dyskontu Calice.

Arabell Van Dijk z amsterdamskiego osiedla Oude West i Alton Junior, czternasty męski potomek z rodziny Blenkinsoop, tak zwany Geordie z Newcastle, w małej przyczepie z małym oknem ukrycie się kochali, Arabell Van Dijk i Alton Junior kochali się mimo wszystko.

Odejść

powoli z lądu przez morze, przez ziemię do wody, przez wzniesienia do przełęczy i od podnóża na zbocze ku szczytowi do nieba.

Miejsce nazywa się na północ od chmur i Bóg wie, Bóg wie, gdzie by to mogło być.

Do miasta prowadzi jedna rzeka i wychodzi z niego jedno źródło.

W rzece pływają zwierzęta, ryby z wąsami i białym brzuchem, czasami zmieniające się w święte potwory z pyskiem i kadłubem.

Trzeba się bać świętych potworów, bać ich białych brzuchów. Ich delikatne i miękkie muśnięcie powoduje wstrząsający napad chłodu i gorąca. Wbicie się w stopę ich wąsa jest jak wbicie płonącej ości. Skóra na stopie się rozstępuje a mięso zapala. Rana goi się w mgnieniu oka, lecz od środka ropieje zamieniając w ohydną narośl. To oznacza koniec.

Trzeba się bać świętych potworów, bać ich wąsów. Są zwiastunami złota lub śmierci. To dwoje to czasami to samo.

Nataša Kramberger, Niebo w jeżynach
(Javni sklad Republike Slovenije za kulturne dejavnosti - revija Mentor, 2007)
Translated by: Marlena Gruda

Odejść, a więc powoli z nieba ku szczytowi przez zbocze do podnóża, z przełęczy przez wzniesienia, przez wodę do ziemi i przez morze do lądu. Na środku będzie świat. Tam też będą płynęły rzeki i w nich będą zwierzęta, ryby z wąsami i białym brzuchem, które czasami będą się zamieniały w potwory z pyskiem i masywnym kadłubem, czasem w kijanki z ogonkiem i żywymi ikrami.

Kto im daruje życie, będzie zapewne poświęcony.
Kto je złapie, będzie zapewne nasycony.
Kto ich żywych się dotknie, będzie zgubiony.
I trzeba się ich bać, ryb z wąsami i białym brzuchem. Mogą zamieniać się czy to w potwory czy to w kijanki,
I to dwoje to czasami to samo.